

Paweł Fleszar

Wyśniona jedenastka

Rozdział siódmy
lipiec 2004

I.

Refleksy światła kołysały się w wódce rozlanej do kieliszków ustawionych w czworobok jak dawny oddział wojskowy. Nad nimi snuła się smuzka dymu papierosowego. Po kilku wstępnych kolejkach Romek, krakowski korespondent "Meczu", zadysponował: "Żeby pan tak co chwilę nie chodził, to proszę przynieść od razu 36 kielonków". Miał gest, bo za wszystko płacili strategiczny sponsor Wisły oraz właściciel lokalu, klubowy kibic. W minionym sezonie było już kilka takich spotkań dla dziennikarzy, a teraz, z lekkim poślizgiem, świętowali zakończenie sezonu.

Jego kompania gdzieś się akurat rozeszła, lekko wcięty Maciek stracił kontrolę nad myślami i wróciły do niego trzymane na dystans sceny z czerwcowej awantury w Klinach, kiedy pierwszy raz w jego obecności został zabity człowiek.

Na szczęście, złagodzone przez alkohol wspomnienia wyświetlały się bez tamtego lęku, pulsującej adrenaliny, wyrazistych konturów, wrzasków. Widział siebie rozcinającego siatkę nożycami, rottweilera, którego obecność go sparaliżowała, ale zdołał wyciągnąć pożyczkę od Kondzia i strzelić psu w obnażone w warkocie kły. Usłyszał tamten przenikający, rozpaczliwy skowyt zwierzęcia, głosy nadbiegających ludzi. Ruszył w przeciwną stronę naokoło willi i nawet nie musiał wycinać szyby diamentem, bo okienko było otwarte. A na zewnątrz drzwi, za którymi odezwała się nawoływana przez niego Karolina, tkwił klucz. I na tym skończyła się dobra passa, bo gdy usiłowali się wydostać przez okienko, czyhali już przy nim ludzie Pokutalskiego, a inni dopadli ich na schodach z piwnicy do wnętrza domu. Gazem wyeliminował jeszcze jednego, kiedy dostał kijem bejsbolowym w głowę. Właściwie nie stracił przytomności, bardziej porównałby to do porannego pólsnu, kiedy co chwilę się budzisz, ale znowu przymykasz oczy. Tyle że rano w łóżku ból nie rozwała ci skroni, nie krzyczy przerażona dziewczyna. Zawlekli ich do dużego pomieszczenia, bardzo jasnego, z oknami na całe ścianie. Od słonecznego światła głowę Maćka przeszyły dodatkowe rozpalone pręty.

- Wykutajcie na gnoja wiadro z zimną wodą - usłyszał burdelowego bossa.

Otrząsał się z kranówki, gdy z zewnątrz doleciał dźwięk rytmicznie naciskanego klaksonu. Akurat, na zwolnionych obrotach, zdążył skojarzyć to z Feniksem, a tu szamotanina, tupoty i w drzwiach stanął kierowca czerwonego forda, jego kumpel i jeszcze dwóch gości w czarnych strojach, z pistoletami. No to pozamiatane, teraz ich oprawcy są już w komplecie, pomyślał melodramatycznie. Zrazu nie dotarło do niego znaczenie wypowiedzianej przez tamtego nazwy Centralne Biuro Śledcze i nakaz rzucenia broni.

Kłoczek Bodzio podrywa swoje uzi w kierunku przybyszów - brzęk tłuczonej szyby, na górnej części jego twarzy i czole pojawia się czerwony kwiat. Wali się na ziemię, jakby z ciała usunięto mu wszystkie kości. Obok niego, z przeraźliwym, zwierzęcym rykiem pada Pokutalski.

- Nasi snajperzy tylko czekają na pretekst, żeby wytepić takie gnidy, jak wy, co do sztuki - mówi kierowca czerwonego forda, który pistoletu nie ma wcale.

Obstawa alfonsa szybko pozbywa się żelastwa i podnosi ręce za głowę. W pokoju pojawia się jeszcze kilku ludzi w czarnych kombinezonach, zakładają im kajdanki.

- Uprzątnijcie też ścierwo i zabierzcie tę obeszczaną szmatę - w głosie dowódcy słychać okrucieństwo. Podnoszą Pokutalskiego, który nie jest ranny, a na przodzie niebieskich portek dresowych, w jakie dzisiaj się wystroił, ma dużą ciemną plamę.

- Kim pan jest? Nie jest pan z nimi? To znaczy, co pan tu robi? - już w trakcie tych niezbornych prób zszokowany Maciek uświadamia sobie, że nie jest w stanie skonstruować sensownego pytania, a wkrótce dowiaduje się, że w ogóle odezwał się nie w porę.

- Przymknij się, zanim nie dojdę do wniosku, że ciebie też powinniśmy zdrutować. Choćby po to, żeby nadrobić zaległości. O mało nie spieprzyłeś nam akcji, którą przygotowywaliśmy od miesiący. Posiedźcie sobie razem z tym durniem, który zaczął trąbić na ulicy.

Papieros parzył go w palce. Palił tylko na imprezach, co nie przydawało mu biegłości, a teraz w ogóle zapomniał się zaciągać. Żar doszedł do filtra, sznureczek popiołu leżał pod dłonią. Trzeba poszukać jakiegoś towarzystwa, żeby uciec od rozpamiętywania makabrycznych przeżyć. Maciek zgasił papierosa w popielnicy z ciętego szkła i na drogę wychylił lewoskrzydłowego z najbliższego rzędu.

Podniósł się i nieznacznie tylko kołysząc przeszedł do sąsiedniej salki.

- Gdy wrócisz, przed snem, nie zważając na ryzyko pawia, łyknij szklanek wody z rozpuszczoną stołową łyżką miodu. Im cieplejsza woda, tym miód szybciej się rozpuści i będzie to łatwiejsze do przełknięcia. Aczkolwiek znani są hardkorowcy, którzy sam miód, bez wody, ot tak. Tuż po obudzeniu, koniecznie, jeszcze siedząc w łóżku, musisz wypić przynajmniej z pół litra jakiegoś płynu, niegazowanej mineralnej, soku, czy czegoś takiego. Może być więcej. A później prysznic i - nie ma wyjścia - trzeba walnąć setę lub piwo czy też dwa, zapalić i modlić się, żeby siadło.

Zazwyczaj pomaga.

Dwóch chłopaków z lokalnego radia, takich co stare wygi nie za często ich na antenę wpuszczają, rozmawiało o sposobach na "syndrom dnia następnego" i swoich najgorszych kacach. Dosyć ich lubił, ale nie miał zamiaru z jednego koszmaru przerzucić się w inny.

W następnym pomieszczeniu królował Przemek Dębiec, kierownik działu sportowego "Serwisu Codziennego". Udawał, że pije, za to monopolizował rozmowę, co robił zawsze, nałogowo.

- Słuchajcie, znam świetny dowcip a propos. Dziewczyna z chłopakiem wpadli do pubu. Siedzą, dobrze się bawią i nagle ona zaczyna opowiadać o nowym, rewelacyjnym drinku, namawia swojego partnera, aby go skosztował. On się zgadza i pozwala, by zamówiła mu tego drinka. Barman przynosi następujące składniki: solniczkę, kieliszek śmietankowego Baileys'a oraz kieliszek soku z limonki. Chłopak patrzy na składniki z głupią miną, więc dziewczyna mu tłumaczy: "Najpierw sypiesz trochę soli na język, potem wypijasz kieliszek likieru i trzymasz w ustach, a następnie zapijasz wszystko sokiem z limonki". Chłopak chce zrobić przyjemność dziewczynie. Sypie sól na język - słone, ale ok. Dalej idzie Baileys - gładki, aromatyczny, bardzo przyjemny... Niezłe. W końcu bierze kieliszek z limonką... w pierwszej sekundzie uderza go w podniebienie ostry smak soku z limonki, w drugiej sekundzie Baileys się zwarza, w trzeciej - słono-zwarzono-gorzki smak trafia mu do krtani. To wywołuje oczywiście odruch wymiotny, ale nie chcąc sprawić dziewczynie przykrości przełyka z trudem. Kiedy udaje mu się opanować, odwraca się do dziewczyny. Ta uśmiecha się szeroko: "I jak ci smakowało? Ten drink ma nazwę: zemsta za loda".

Poziom buractwa przekroczył stan alarmowy, pora się ewakuować. Maciek odszedł, choć ta fałszywa menda już odsuwała mu krzesło z uśmiechem. Chętnie powiększyłyby swoje audytorium.

II.

Dalej scena jak z wiejskiej zabawy w remizie. Szarpią się chłopcy z konkurencyjnych stacji. I też seks oralny jest wątkiem przewodnim: "Ty cwelu z Tivisatu, możesz mi obciągnąć". Kilku innych usiłuje ich rozdzielić.

Maciek nawet nie zwolnił, podobnie jak po sąsiedzku, gdzie dysputa tyczyła wyższości premiera Belki nad Millerem i innych równie frapujących kwestii. Podziemne pomieszczenia średniowiecznej kamienicy miały łukowato sklepione sufity i półokrągłe, pozbawione drzwi

przejścia między salkami. W następnej siedział z paroma starszymi dziennikarzami właściciel lokalu, który nazywał się "Kryptą", ale jego najważniejsza, przestronna część mieściła się na parterze, powiększona o ogródek na płycie Rynku.

- Panie Macieju, zapraszamy do nas, pogwarzymy o naszej Wiselce - pokiwał do niego od stolika. - Towarzystwo coś mi zaczyna kimać. Nie wiem, czy to niedostatek tlenu, czy nadmiar procentów. Doczekamy się wreszcie Ligi Mistrzów, jak pan myśli?

- Nie wiem, czy nadarzy się lepsza okazja. To najsilniejsza drużyna, jaka kiedykolwiek przystąpiła do kwalifikacji. Jeśli jeszcze Sam wróci do formy jaką miał rok temu, przed tymi breweriami, mogą ograć każdego. - Samuel Bangura latem 2003, chcąc wymóc transfer zagraniczny, zastrajkował przed spotkaniem pucharowym. Osiągnął tyle, że klub go zawiesił, wyjechał do Sierra Leone, pół roku nie grał w ogóle, w lutym wrócił skruszony.

- Bangura?! Myślałem, że powie pan o Bogusławskim, Paradzie, ewentualnie tym nowym, Marciniaku. A pan najbardziej ceni tego półgłówka, który wyciął taki numer?

- W lipcu ubiegłego roku oglądałem sparing Wisły z Monaco w takim małym miasteczku na Lazurowym Wybrzeżu. Samuel grał na Patrice Evrę i woził Francuza jak furę siana, aż tamten wyciął go z frustracji. Dobrze, że trafił tylko w dechy. Huk dotarł aż na stanowiska dziennikarskie pod dachem, a Sam krzyczał bardziej ze strachu niż z bólu. W drugiej połowie dostał prostopadłe podanie, zbiegając z prawego skrzydła do środka minął dryblingiem dwóch Francuzów i zapakował lewą nogą pod poprzeczkę. Już wtedy osiągnął wysoki poziom europejski. Sam się wyhamował.

- Co ty grzebiesz w trupach z jakimś sparingiem sprzed roku, przecież tam było 2:5 w ryj. - To Konrad, który wprawdzie nosi "Białą Gwiazdę" w sercu, albo przynajmniej wyhaftowaną na pizamie, ale zwykle stara się mieć przeciwną opinię. Co w sumie jest stymulujące intelektualnie, bo uczy, jak bronić własnego zdania.

- Porażka 2:5, to prawda, ale w pewnym momencie było 2:3 i szanse na wyrównanie. Generalnie, Wisła grała bardzo ofensywnie, miała okazje, ale je marnowała, a tamci wychodzili z kontrą i strzelali gola. Długimi okresami posiadała inicjatywę w konfrontacji z finalistą Champions League. Jak ci to brzmi?

- Niby finalistą, ale bez Morientesa.

- Grał Shabani Nonda, któremu w sierpniu złamali nogę i dlatego Monaco wypożyczyło Morientesa. A Nonda był z 26 golami królem strzelców sezonu 2002/03. To więcej niż teraz strzelił Drogba, za którego Abramowicz ma dać połowę złota Kamczatki.

- Czukotki chyba.

- No tak, jemu przypadła Czukotka. Wracając do Wisły, to miała problemy w obronie, ale przecież w zimie przyszedł "Miara", jest znowu Koliński. A w ataku już wtedy bywała świetna. Do tego dojdzie Marciniak i wraca Diego, który tak jak "Kolina" leczył rok temu kontuzję. Mówię wam, takiej drużyny tu jeszcze nie było!

- Moja idea. Ofensywa - ocknął się Slade. - Lubię, Maciuś, gdy z taką pasją mówisz o sporcie. A widzieliście, co zrobił Bruckner w meczu z Holandią? Advocaat wpuścił Bosvelta za Robbena, to Czech ściągnął Galaska i dał za niego kolejnego napastnika, Marka Heinza. Starszy pan nie wie, co to zachowawczy futbol i nie traktuje taktyki jak wytrycha do każdych drzwi. Pewnie i jemu, tak jak mnie, taktyka kojarzy się z posuwaniem baby z podręcznikiem w rękę.

- Ależ panie Wojtku...

- Sledziak, albo Slade jak dla ciebie. - Z upodobaniem używał ksywy wziętej od glamrockowej kapeli, choć na ogół preferował bardziej progresywne, symfoniczne brzmienia z lat 60. i 70.

- No i wspaniale, przestańmy sobie panować. Ja jestem Zdzisek - klasnął w ręce restaurator. - Musimy to przypiecztować jakimś zacniejszym trunkiem. Łyskaczem na przykład, bo on nie dość, że pyszny, to ma jedną fundamentalną zaletę - rano nie boli. Franus przynieś tu trzy butelczyny tego dziesięcioletniego irlandzkiego single malta, co to wiesz, przywieźli nam w, ekhem, prezencie.
- Bushmills? - odgadł kelner, który znieacka wyrósł obok swego chlebobdawcy.
- Dokładnie.
- Ja już dziękuję - poruszył się Maciek, pełen złych przeczuć na temat finału tego, co się właśnie kroi.
- Podziękujesz, jak wypijesz, taką mam zasadę. Najlepiej wiesz, że gramy w ekstraklasie, a niedługo może będziemy w Lidze Mistrzów. To pociąga za sobą pewne wymagania.
- Lej se po pół - mrugnął do Maćka przysiadający się właśnie Zbyszek.

Ten Bushmills to istny eliksir wiedzy, żartował później z whisky o miedzianym kolorze i miodowym posmaku, którą dotąd znał wyłącznie z sensacyjnych powieści Jacka Higginsa. Na tym paliwie Slade nie tylko zdominował rozmowę (do tego nie potrzebował gorzały), ale zaczął snuć opowieści, które w efekcie rozwiązały zagadkę tatuazu nieznanego topielca.

- Kiedy klient, który nazywał się Thring opublikował w 1862 roku w Cambridge 10 zasad gry w piłkę nożną, nazwał to "The Simplest Game". "Najprostsza gra"! Od tamtej pory te palanty wymyślają kwadratowe jaja o coraz ostrzejszych krawędziach. Taktyka! - perorował już po zakończeniu ceremoniału przedstawiania się i całowania z dubeltówki.
- Tanie pierdolenie, Slade. Najprostsza gra, to był największy bajzel na boisku, albo krańcowy indywidualizm. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu, każdy gwiazdor brał piłkę i robił z nią co chciał, a po drugiej stronie atakowali go jacyś przypadkowi zawodnicy - Konrad zabrał się za to, co lubił najbardziej: prowokowanie. Maciek uznał, że musi interweniować, zanim Slejdziać wpadnie w naturalną dla niego w takich przypadkach furie.
- Zgoda, że taktyka porządkuje grę, ale często bywa traktowana jak fetysz. Daje trenerom złudzenie kontroli. I najlepsze alibi: "Przygotowaliśmy się dobrze, fizycznie i taktycznie", "Zawodnicy nie wykonali założeń", "Piłkarze dokładnie zrealizowali to, co im nakreśliliśmy". A często decyduje przypadek. Piłka odbija się kilkadziesiąt centymetrów w jedną lub drugą stronę i trafia do gościa, który ją pakuje z bliska do siatki i zdobywa rozstrzygającego gola. Albo nie spada mu pod nogi... Zawsze powtarzam, że wielkie dni Wisły Romańskiego zaczęły się od dwóch kęp trawy. W rewanżu z Parmą, przy stanie 0:1, Adriano biegł sam na sam i kopnął w ziemię, przez co nie podwyższył prowadzenia. A potem, gdy już wszyscy powoli żegnali się z nadzieją, Żelazowski strzelił płasko z wolnego, piłka podskoczyła i zmyliła Freia. Przy 0:2 i 1:4 w dwumeczu nie byłoby już szans, ale i bez tamtego wyrównania też raczej nic by nie wskórali.
- Od kwitnącej gleby się zaczęło, a na zamarzniętej glebie skończyło - stwierdził filozoficznie pan Zdzisek i w gęstniejących oparach alkoholowych minutą smutnej zadumy uczcili odwołany mecz z Lazio.
- Taki przypadek może ci odmienić całe życie - rzucił kpiąco kierownik działu sportowego "Echa". - Ponad dwadzieścia lat temu Wisła wygrała z Pogonią w Szczecinie, więc generał milicji, krakowski miejski komendant, który był prezesem klubu, w nagrodę zabrał ich do służbowego samolotu. Tak jeden chłop wrócił do domu w sobotę zamiast w niedzielę i zastał w nim żonę z kochankiem.
- Dobra, daj spokój z "Truskawą". Dawno rozwiedziony, a z żoną ożenił się kochanek. Niech też ma jakąś karę, podstępny sukinsyn. - Pan Zdzisek prawie pół wieku działał w gastronomii i tyle samo

kibicował Wiśle, więc takie anegdoty znał na wyrywki.

- Są i przypadki zawinione. Pamiętacie półfinał mistrzostw Europy w 1996 roku, Anglia - Niemcy? Obecny tu Slejdzia napisał wtedy w "Rekordzie", że pierwsza połowa dogrywki to jeden z najpiękniejszych kwadransów w historii futbolu. Wtedy były jeszcze "złote gole" - nagła śmierć w momencie straty bramki - a oni zupełnie się pootwierali: z jednej strony na drugą sunęła akcja za akcją. Jeszcze w tej chwili widzę taką sytuację: podanie Shearera z prawej wzdłuż bramki Szwabów, tak z metr od linii. Gascoigne goni do tego, zamierza się lewą nogą, ale nie sięga. Zabrakło mu bardzo mało. Wyobraźcie sobie, że prosiak nie wchłonąłby wcześniej tych wszystkich drinków, piw, frytek i hamburgerów. Pewnie zdążyłby, Angole awansowałiby do finału i zdobyli majstra, pokonując Czechów. A tak, to nie wiadomo, czy jeszcze coś wygrają. Frajerstwo mają w herbie.

- Panowie, my już w mistrzostwach Europy nie zagramy, więc możemy się napić. Zresztą - właśnie dlatego powinniśmy się napić... Po naparsteczku, a zaraz posyłam po lód, bo się kończy.

- A ja pamiętam strzał, który został oddany. Chyba nigdy już tego nie przeżaluję - mówił Slade łamiącym się głosem, ocierając łzę. Nie zgrywał się, po prostu był już tak zrobiony. - Pamiętam tamto pole karne na Estadio Monumental zasłane confetti. W ostatniej minucie Krol wrzucił piłkę i Rensenbrink trafił z lewej strony w słupek. Parę centymetrów w prawo i wpadłaby do siatki. On zostałby królem strzelców, a Holendrzy dostaliby "Złotą Nike". A zasłużyli i to po raz drugi!

- To było wtedy, gdy redaktor Żyto ukląkł i pocałował telewizor, bo tak się cieszył ze zwycięstwa Argentyny?

- On pocałował odbiornik z wdzięczności, bo wiedział, że im się nie należało, tylko dostali je w prezencie od losu.

Maciek nie słyszał już dwóch ostatnich zdań. Odpłynął, jakby film mu się urwał, ale zwoje grzały się, rozpalone hasłami: Holandia, "Złota Nike", niezasłużone zwycięstwo. Tak! To musi być to!

III.

Może to jakaś pomyłka, zepsuty dystrybutor? Przecież to niemożliwe, żeby samochód palił poniżej pięciu litrów ropy na setkę. W dodatku na autostradzie! Przejechał pół Europy epicko brzydkim renault, wyglądającym, jakby ktoś przyczepił mu z tyłu położoną na boku lodówkę. Za to półtoralitrowy silnik diesla był rewelacyjny. Wprawdzie przy 170 na godzinę pod stopą miał już podłogę, ale za wachę płacił mniej według francuskich stawek, niż w Polsce za benzynę do swojej mazdy.

Jechał sam. Żadna inna gazeta nie wysłała swojego korespondenta, Michał też tym razem wymiksował się, bo większość sierpnia miał spędzić w Atenach, więc teraz wołał zostać z żoną, która była w ciąży z bliźniakami. Trudno było jednocześnie kontrolować drogę i analizować wydruki trasy z viamichelin. Obok Paryża nie sprawdził dokładnie numeru zjazdu i nie trafił na autostradę na zachód. Gorączkowo szukał powrotu na starą trasę, a w efekcie wylądował w południowej dzielnicy. Wysiadł, żeby zapytać o drogę. Grupa mężczyzn w długich jasnych szatach nie mówiła ani słowa po angielsku. Jakieś starsze kobiety spojrzały na niego przestraszone i odeszły. Kiedy zorientował się, jakie wrażenie puka do niego od dłuższej chwili (był tam jedynym białym), a jednocześnie zaczęło się do niego zbliżać trzech muskularnych mulatów w czarnych okularach - szybko wrócił do samochodu i odjechał.

- Przynajmniej poznałeś miejsce w Paryżu, gdzie z wycieczką nie przyjedziesz - mówił do siebie, co było najlepszym sposobem na uchronienie się przed zaśnięciem po kilkunastu godzinach jazdy.

W samochodzie nie miał nawet radia.

- Nie pękaj, przypomnij, sobie, jak pan Bronek z "Rekordu" z Krzysztofem Krajewskim z "Echa Małopolski" pojechali maluchem na mistrzostwa świata do Hiszpanii. Trzy tysiące kilometrów! O połowę więcej, niż ty masz przemierzyć. Pan Bronek miał wtedy 52 lata, a Krajewski czterdzieści parę. Ciekawe, czy będzie ci się chciało wyjść z domu w tym wieku. Dostali po kilka dolarów dziennej diety, więc spali w namiocie przy plaży. Najwięksi trampowie polskiego dziennikarstwa sportowego! I jak głosiła legenda, którą częściowo sami stworzyli, pomogli w uratowaniu Antoniego Piechniczka, bo prezes PKOl, Włodzimierz Reczek rankiem spacerował zafrasowany nad Atlantykiem i wpadł do nich na pogawędkę. Spytał ich o zdanie, więc przekonywali go, że nie powinien ulegać naciskom na zwolnienie trenera po dwóch remisach.

- Jak było, tak było, ale przynajmniej obejrzeni na żywo i opisali drugi największy sukces w historii polskiej piłki. I to opisali ręcznie, długopisami, a potem wysyłali faksem do Krakowa.

Z turnieju Hiszpanii był już tylko krok do wcześniejszych mistrzostw świata, dramatycznych meczów i niesprawiedliwych porażek. Wytypował kilka drużyn, które wycierpiały najwięcej na mistrzostwach. Przede wszystkim Węgrzy w 1954 roku, plus kilka innych przed wojną, załatwionych w 1934 i 1938 na różne sposoby przez Włochów, prowadzonych przez "Vecchio Maestro" - "Starego Mistrza", Vittorio Pozzo. Był on jedynym trenerem w dziejach, który dwukrotnie zdobył "Złotą Nike", a funkcję generalnego menedżera pełnił u niego samozwańczo Benito Mussolini.

Odpuścił Niemców z 1966 roku. Wprawdzie gol Hursta nie powinien zostać uznany, bo piłka nie przekroczyła linii, to jednak Anglicy wygrali 4:2. No i musiał zrezygnować z jednej z najbardziej poruszających historii mistrzostw, gdy Alcides Ghiggia uciszył 200 tysięcy Brazylijczyków na Maracanie (teoretycznie sprzedano 173 tysiące biletów, ale reszta weszła razem z bramami stadionu). To był ostatni mecz mistrzostw 1954, mylnie nazywany finałem. Cztery zespoły w grupie, po dotychczasowych wynikach gospodarzom wystarczył remis. I nawet prowadzili 1:0, ale Ghiggia najpierw podał do Schiaffino, a potem strzelił na 2:1. Tyle że Brazylijczycy wygrali później "Lady of the Victory" trzykrotnie i w 1970 roku dostali ją na własność.

Ukuł teorię, że ten gość, którego znaleźli w kwietniu, był kibicem, może członkiem czegoś w rodzaju sekty, która chciała odzyskać "Panią Zwycięstwa", niesłusznie utraconą przez ich reprezentację. Bardzo mu się ten pomysł podobał, choć niewiele w nim trzymało się kupy. Przede wszystkim, szybko, choć z żalem, porzucił tamten pierwszy impuls, który podsunął mu rozwiązanie. Owszem, Holendrzy byli o włos od mistrzostwa w 1978, a cztery lata wcześniej grali świetnie (przez większość turnieju, choć tylko mniej więcej do 20. minuty finału, kiedy Niemcy przejęli inicjatywę), ale przecież wtedy stawką był już Puchar Świata. Niestety, trudniej w tej sytuacji o związek z "Armandem", który przypłynął z Rotterdamu. A jeśli topielcowi z rozciętym gardłem chodziło o "Nike", to nie powinien mieć nic wspólnego z barką, a jeszcze mniej z Krakowem. I ten napis, "Arcyłotr"? Co to w ogóle ma znaczyć? Takie rozmyślenia snuł od niemal tygodnia w przerwach między lekturą dwóch tomów "Encyklopedii piłkarskiej Fuji" Gowarzewskiego i paru innych, słabszych książek. Jeszcze jedną znalazł tuż przed wyjazdem, odwiedzając rodziców w Mszanie. Tata przypomniał mu, że jeszcze w podstawówce jako nagrodę za sumienne uczestnictwo w zajęciach SKS-u dostał wspomnienia węgierskiego dziennikarza. Wtedy uznał to za nudy i nie przeczytał, a teraz wygrzebani z szafki "Piłkarze, sportowcy" Roberta Zsolta leżeli w torbie, w bagażniku renault.

Choć o Węgrach, którym wszyscy przyznali mistrzostwo jeszcze przed finałem 4 lipca 1954 roku, dowiedział się dotąd całkiem sporo. Chyba nigdy nikogo nie stawiano do tego stopnia w roli faworyta, jak ich. Przez cztery lata poprzedzające czempionat w Szwajcarii byli niepokonani w 32 meczach, a tylko trzy z nich zremisowali. W 1952 r. zdobyli złoto olimpijskie, później dwa razy roznieśli Anglików jak gnój po polu - 6:3 na Wembley i 7:1 na Népstadionie. Niemców, którzy mieli wyjść z nimi na finał, zmiażdżyli w fazie grupowej 8:3. W półfinale puknęli Urusów 4:2, co było pierwszą porażką tamtych w historii mistrzostw świata (wcześniej wystartowali w nich dwukrotnie, dwukrotnie zdobywając tytuł).

I byli fantastycznymi kozakami. Po ćwierćfinale Brazylijczycy zaczęli bójkę w tunelu prowadzącym do szatni. Gyula Lorant stłukł lampę, żeby ewentualni świadkowie nie zobaczyli zbyt wiele, a potem razem z kumplami wystudzili nagranych Latynosów za pomocą syfonów i tym podobnych rekwizytów. Na boisku wygrali 4:2, tutaj wyżej.

W finale prowadzili 2:0. Ale już wcześniej sprawy zaczęły się komplikować. W spotkaniu grupowym Werner Liebrich sfaulował Ferenc Puskasa i ten wystąpił w finale z kontuzją. Tego dnia byli niewyspani, bo wcześniejszej nocy w sąsiedztwie zorganizowano wesele. Padał deszcz. Przy wyrównaniu na 2:2 Schaefer zablokował nieprzepisowo Grocsisa, a arbiter Walter Ling nie uznał gola zdobytego przez Puskasa na 3:3, odgwizdując spalonego. To był jego ostatni mecz w karierze sędziowskiej. "Cud w Bernie", "4 lipca 1954 roku narodziły się współczesne Niemcy", o tym spotkaniu napisano tam chyba ze 20 książek.

W Budapeszcie po finale wybuchły zamieszki, aresztowano demonstrujących ludzi. Nie wiedzieć czemu, zdymisjonowano kierownictwo największej gazety sportowej: "Nepsportu". "To nie Niemcy wygrali ten mecz, tylko myśmy go przegrali. I będę musiał z tym żyć aż do śmierci", stwierdził jeszcze całkiem niedawno Jenő Buzanszky. A Gustaw Sebes umierając miał powiedzieć: "Przegraliśmy ten mecz". Przez siedem lat pracy selekcjonera, w 62 spotkaniach poniósł tylko trzy porażki; tę i dwie towarzyskie...

- Nie zapominaj, że byli też Węgrzy sprzed wojny, którzy w 1938 roku przegrali z Włochami w finale. Ich bramkarz, Antal Szabo stwierdził: "Mam frajdę, uratowałem życie 11 ludzi", bo tamci mieli dostać od Mussoliniego telegram: "Zwycięstwo albo śmierć".

- Nie kupuję tego, tamtym Węgom nic się nie należało. W finale Włosi ich rozmontowali, 4:2. A w następnym roku, przed wojną, dorwali ich nasi, z Wilimowskim i wyłomotali tak samo, 4:2 - oczy mu się zamykały, schizofreniczny dialog szedł na całego. Właśnie skręcił na południe na obwodnicy Rennes. Już niedaleko. - Tak naprawdę, większe wspomaganie "Makaroniarze" mieli cztery lata wcześniej. Najpierw w zremisowanym ćwierćfinale skatowali Ricardo Zamorę - "Człowieka barykadę" z wiersza Kazimierza Wierzyńskiego - a sędzieja Louis Baert na to pozwolił. Ówczesny regulamin nakazywał powtórzenie meczu, Zamora już nie był w stanie wyjść na boisko, a tam oszył ich kolejny cwaniak z gwizdkiem, René Mercet.

- Masz rację, ale lepszy numer był ze Szwedem Ivanem Eklindem. Duce, który załatwił dla Włoch organizację mistrzostw, wziął go przed półfinałem na kolację i jak to czarny z czarnym zadzierzgnęli nic sympatii. Eklind nie uznał Austriakom gola, w innych dogodnych sytuacjach odgwizdywał im faule w polu karnym, więc Italiańcy dowieźli od 19. minuty 1:0. Po czymś takim facet byłby skompromitowany, a on tydzień później został nominowany do poprowadzenia finału. I znowu Włochy zwyciężyły różnicą jednej bramki, tym razem z Czechami, po dogrywce.

- Dodajmy jeszcze symboliczny mecz o trzecie miejsce, w którym III Rzesza pokonała Austrię.

Drugi raz pokonała ją na wiosnę cztery lata później i wcieliła do swojego składu cały naród oraz część piłkarzy. - Na szczęście, kiedy do rozmowy dołączył trzeci głos, wjeżdżał już do Vannes. Teraz trzeba rozpoznać teren; znaleźć hotel, w którym mieszka Wisła i coś tańszego w okolicy.

IV.

To się nazywa szok cywilizacyjny. Maciek siedział w budzie na kółkach, która służyła za stanowisko spikera i zaimprovizowane biuro prasowe obok boiska w Quessay. Wisła rozgrzewała się przed sparingiem z Guingamp. Dziennikarz lokalnej gazety rozrysował mu przed chwilą, że miejscowa drużyna występuje na siódmym poziomie rozgrywkowym we Francji. Boisko ogrodzone żerdziami jak pastwisko dla owiec, bez trybun, ale za to mini-jupitery, a przede wszystkim murawa jak stół, lepsza niż ta przy Reymonta, zrobiona rok temu po skandalu z odwołanym meczem z Lazio. Zrozumiał Józefa Romańskiego, który nie wytrzymał, gdy dziennikarze brandzlowali się inauguracją oświetlenia na Wiśle i próbowali go wciągnąć do chóru pochwalnego. "Co wy tak ciągle o tym właścicielu, że wam elektrykę wybudował?!".

Baraczek, w którym stali, służył chyba za obwoźny fast food, bo Maciek patrzył przez zdjęty fragment dłuższego boku, a przed sobą miał blat, na którym położył laptopa. O - a propos! Przyszedł spiker i z przyjaznym uśmiechem wręczył im po serwetce z czymś w kształcie grubego cygara. Po bliższych oględzinach ukazał się nietypowy naleśnik, szaro-brązowy, odrobinę pikantny, w który owinięta była grillowana, chrupiąca kielbaska. Te naleśniki to galettes, regionalna bretońska potrawa. Nadzieniem nie muszą być kielbaski, ale też szynka, ser, czy jajko, wytłumaczył mu, częściowo na migi, jego towarzysz.

Kolejnym przykładem dystansu dzielącego francuski futbol od naszego jest taktyka Guingamp. Wisła uchodziła za jedyny zespół w Polsce, który potrafi grać w ustawieniu 4-4-2. Tutaj bez większych wzruszeń stosowała ten system drużyna, która w poprzednim sezonie fiknęła z Ligue 1. Aż miło było popatrzeć, formacje przemieszczały się względem siebie jak wysuwane i zasuwane szuflady. Krakowi zespół miał jednak lepszych piłkarzy, Grzesiek Parada wybiegł do prostopadłego podania i załatwił 1:0. ("Parada to jest tak dobry napastnik, że mógłby nawet grać w Cracovii i nikt nie uważałby go za wiślackiego psa" - stwierdził pięć lat temu znajomy zaprzysięgły kibic "Pasów", co w ustach kompletnego szowinisty miało swoją moc, a biorąc pod uwagę, że jego zespół występował wówczas w III lidze - także spory ładunek komizmu).

Ludzie jednak dojrzewają. Jakiś murzyn startował do Przemka Tomczaka, nawet zamierzał się do uderzenia "z grzywki", lecz ten poklepał go pobłażliwie po karku i odszedł, zupełnie lekceważąc. A jeszcze parę lat temu brał z dwoma kolegami sędziego pod obcasy. Maciek wstukał relację i poszedł w kierunku dymiących stanowisk gastronomicznych. Przy okazji meczu zorganizowano coś w rodzaju pikniku dla miejscowych. Ciekawe, czy następne galettes będą równie dobre, jak pierwszy.

Rozebrał się do t-shirtu. Już po raz drugi nabrał się na zachmurzone niebo i poranny chłód panujący w Bretanii. Najpierw nie wziął ze sobą na plażę kąpielówek, bo uznał, że przy takiej pogodzie nie będzie szans na wejście do morza. Dzisiaj założył koszulę i bluzę. Za każdym razem zgrzało go słońce, które po prostu wstawiało później na tej długości geograficznej, za to wieczorem dłużej było jasno.

Dopijał właśnie napój pomarańczowy (za puszkę i naleśniczka zapłacił po jednym ojro), gdy z redakcyjnego numeru zadzwonił Tomciara.

- Cześć, wPorzo, widziałem twój tekst na serwerze, z czego wnoszę, że żyjesz. Ale ciekawe, jak zniesiesz dwie wieści, złą i gorszą. Pierwsza to taka, że twój przyjaciel Damian Korona, z którym

macie stosunki przerywane - najczęściej rzuceniem słuchawki - został upgrade'owany do funkcji kierownika działu piłki nożnej. Chyba odtąd będziesz musiał rozmawiać z nim nieco dłużej.

- Jeśli nie dostanę azylu we Francji.

- Za to "Flaszka" jest ponoć na wylocie.

Tak nazywali jednego z wydawców, Nierzwickiego, który ofiarnie nosił flaszkę za każdym kolejnym szefem, a poprzedniemu wbijał nóż w plecy. Był po prostu lojalny inaczej.

- To przykre.

- Zwłaszcza dla "Flaszki", dupa mi się kraje z żalu.

- I to jest ta gorsza wiadomość?

- Nie. Imaginuj sobie, że w ślad za tym całym węglem, cukrem i zbożem, co żeśmy je wysyłali dawniej na wschód, teraz pojechał Maciek Kwaśniewski. Do Samary dokładnie. Ale tym razem, inaczej niż w słusznym minionej przeszłości - Rusczy zapłacili. Półtora miliona dolców. A jego menedżerem przy realizacji tego transferu został Andrzej Podkowiński. Burak rulezz!

"Podkova" przypominał postać z czołówki rankingu wrogów Batmana, co czyniłoby go charyzmatycznym, gdyby nie fakt, że był pospolitym chamem. Jak nie nawrzeszczał na ciebie, że mu przeszkadzasz telefonując, to sam zadzwonił, żeby cię zrębać za coś, co napisałeś nie po jego myśli. Maciek przepytywał go kiedyś po wyjściu z kawiarenki na Wiśle, gdzie zjadł obiad, a on odpowiadając na pytania tak grzebał palcami w zębach, jakby mu tam uwięzło co najmniej udko z kurczaka.

- Ja pierdole - jęknął.

- Subtelne.

- Wyszukana ironia. Na dodatek to my pomogliśmy mu przejąć kontrolę nad tamtym rynkiem?

- Prawdopodobnie. Ale nie przejmuj się tak, wPorzo, w tym fachu nie ma dziewic. Mnie osobiście buca obchodzi, który sukinsyn będzie się paść na Ruskich.

- I co, Podkowiński jest w mafii w Krakowie?! W interesie burdelowym?

- Nie sądzę. Nie obkoczyłby wszystkich biznesów. Ma pewnie jakieś luźne powiązania, znajomości, ale raczej z konkretnym człowiekiem. Może na przykład z Heńkiem Ogrodnikiem, tak jak ty?

- Gejzer dowcipu jesteś.

- Jak co dzień. Wiedział, że Bednarski bywa często w Krakowie, poprosił ich o przysługę, za którą się odwdzięczy albo zapłaci. Czekaj, coś mi pika. Muszę się zbierać, bo piszę tekst o składzie "Crazy" na nowy sezon. Wiesz, że po barażach prezes powiedział do nas: "Fajnie, że Franek Gąsior spartolił dwa gole, negocjacje kontraktowe będą łatwiejsze". I do dziś go trzymał w szachu, ale teraz chyba podpiszą. Gdybyś gdzieś zobaczył jakieś elementy "Łuku Triumfalnego" Remarque'a, to zabierz i nam trochę.

- Ok, przywiozę butelkę calvadosu.

- Fajnie kolegować się z kimś tak odczytanym, co aluzje literackie chwyta w lot. Dwie butelki.

- Literackie? Młynarski i Kasia Jamróz śpiewali o tym piosenkę. Na razie.

Powinien zadzwonić do Karoliny, która miała wielką ochotę spędzić z nim wakacje w Krakowie, ale na wyraźne polecenie Waldka, przy aprobachie Macieja, została wyekspediowana do domu. Po porwaniu było tu dla niej zbyt niebezpiecznie.

Waldek... Tak kazał zwracać się do siebie ten oficer CBS, który tak długo go prześladował (choć raczej w wyobrażeniach, jak już na chłodno doszedł do wniosku Maciej), a teraz okazał się

sympatycznym i błyskotliwym człowiekiem. Podziękował im, że pomogli w naprowadzeniu na "tę śliską bandę". Wprawdzie mieli sutenerów dość dokładnie rozpracowanych, ale nie mogli im udowodnić przestępczej działalności, a teraz bekną za uprowadzenie Karoli. Nie byli pewni, gdzie jest przetrzymywana, trafili tu śladem Maćka.

- Szkoda tylko, że nie udało się dojść do bossów, ale może rozpruje się wieprz w dresie, który zrobił to na ich zlecenie.

- A czego właściwie krakowscy mafiozi chcieli od szeregowego dziennikarza sportowej gazety i studentki pierwszego roku anglistyki?!

- Ktoś odstrzelił na ich terenie faceta, a nikt nie miał na to koncesji. Na dodatek, nikt nie wie, kim on był. Natomiast wy ciągle kręciliście się w miejscach związanych ze sprawą, a ty jeszcze położyłeś się im na talerzu. Przecież my też z tego powodu zwróciliśmy na was uwagę...

Zrobili gest, przesłuchali od razu na miejscu, żeby nie ciągać na komendę. Będą zeznawać przed sądem, ale dopiero po zakończeniu śledztwa, co może potrwać. Kiedy Karolina poszła na łązienki, usunąć z siebie trochę śladów ostatnich przejść, Maciek porozmawiał jeszcze chwilę z Waldkiem sam na sam. Ten potwierdził, że opowieści o utopionym człowieku ze skłonnościami samobójczymi były mistyfikacją Jesionka, który chciał zainteresować jego dziewczynę. Za to kokaina była autentyczna i to dość rzadko spotykana w Krakowie, przemycana przez Afrykę do Hiszpanii lub Włoch. On z kolei opowiedział policjantowi o futbolowym wątku sprawy i swojej teorii o kradzieży i poszukiwaniach statuetki.

- Ale skąd nagle odnalazłaby się w Krakowie; na innej półkuli, w miejscu, gdzie nikt nigdy nic w piłkę nie wygrał? I kto miałby jej tu szukać? To się nie klei - stwierdził Waldek.

- To dlaczego ktoś zadał sobie aż tyle trudu i okrucieństwa, żeby zamaskować tatuaż ze "Złotą Nike"?

- Obawiam się, że w sprawie morderstwa nie mamy nawet włosa informacji. Tylko garstkę łupieżu spod tego włosa.

V.

W bistro w jednej z wąziutkich uliczek średniowiecznego śródmieścia Vannes zjadł galettes z szynką, ale to nie był już taki przebój, jak te z kiełbaską. No i chudy jakiś. Poprawił więc kebabem, które wręcz się narzucały. Francuzi świętowali 14 lipca w jego wigilię, budki na kółkach z żarciem obstawiły teren obchodów. Odebrał paradę postaci z filmu o trzech muszkietierach, potem Rzymian i Wenetów, a kiedy na deser zaczął się pokaz ogni sztucznych, on w tym samym celu zawinszował sobie lody w rożku.

Z lekkimi szmerami w żołądku powlókł się do hotelu wzdłuż kanału prowadzącego od centrum miasta do zatoki, mijając zacumowane żaglówki. Miał do spisania wywiad z Romańskim, miłą niespodziankę. Świetny niezaprzeczalnie szkoleniowiec, który w oficjalnych wypowiedziach był uosobieniem nudy i banału. O swoim najbardziej płomiennym romansie opowiadałby pewnie jak o plenarnym posiedzeniu sejmu. W lutym robili rozkładówkę o przebudowie drużyny, Maciek miał przeprowadzić dużą rozmowę z Józkiem, który był nie w humorze, więc sadził same frazesy: "praca, odpowiedzialność, mobilizacja", a po pięciu minutach przerwał w ogóle. Dało się z tego wycisnąć zaledwie 1000 znaków. Innym razem miał pretensje o jakiś krytyczny tekst:

- Jak pan mógł to napisać? I to pan, nasz dziennikarz.

- Trenerze, ja nie jestem wasz, tylko mamy i taty - odpalił wkurzony Maciek, co tamtego zbiło trochę z pantałyku.

Już przed rokiem jednak, podczas zgrupowania na południu Francji, był całkiem otwarty i uprzejmy, tyle że Maciej robił z nim raczej krótkie materiały. Tym razem usiedli na dłużej i zleciały im niemal trzy godziny. Ten kraj jakoś go odmieniał. W tekście będzie sporo tego, co Jucha i Gromek tak lubią - "kulisów". Ale to dopiero na sobotę. Maciek kierując się zasadą, że robota nie lubi pośpiechu, zrzucił buty i z "Piłkarzami i sportowcami" położył się na brzuchu na rozesłanym, szerokim łóżku.

Czytał o wielkich gwiazdach, kochających piłkę jak dzieci. I z dziećmi chętnie w nią grających. O Puskasu i Kocsisu, którzy zdejmowali marynarki i na byle placyku kopali z miejscowymi. Pewnego razu, w nocy, zatrzymali ciężarówkę i w świetle jej reflektorów grali na jezdni przez półtorej godziny. Trudno było ich nakłaniać do regularnego treningu, ale kondycję zdobywali grając po sześć godzin dziennie. Kiwali się, strzelali, żonglowali, robili zakłady, kto trafi w wyznaczony prostokąt z 16-20 metrów - opowiadał Robert Zsolt.

Jozsef Bozsik w setnym występie w reprezentacji, mając 37 lat, w 1962 r., jeszcze strzelił gola. Przygody sprzed dekady wspominał tak: *"Mecz międzypaństwowy po południu. Ale przed południem na trawie przed Grand Hotelem na Wyspie Św. Małgorzaty zagraliśmy na całego. Lorant złamał palec u nogi, a ja dostałem takie kopnięcie, że przy każdym kroku myślałem, że zemdleję z bólu"*.

Aranycsapat - złota jedenastka.

Kompletnie zlekceważył tytuł podrozdziału. Dopiero, kiedy dojechał do dołu i przewracał kartkę, to słowo mignęło mu przed oczami, jakby skrócone, bo oglądane pod kątem.

Aranycsapat. Arnycapt. Arcyłotr? Arcyłotr!!?

Napisał do Ali na forum politologów. Po uwolnieniu Karoliny wysłał jej podziękowania, ale nie zareagowała. Zamieszania było tyle, że specjalnie tego nie analizował. A może ona też miała jakieś nieprzyjemności w związku ze śledztwem? O niej akurat Waldkowi nic nie powiedział.

Cześć. Przepraszam, że zawracam Ci głowę. Mam nadzieję, że CBS za bardzo Was (dziewczyn) nie dręczy. Mam takie pytanie, o tatuaż tego faceta, o którym rozmawialiśmy za pierwszym razem.

Opowiadałaś, że miał też napis, który brzmiał jak "Arcyłotr". A czy to mógł być "Aranycsapat"?

Nie czekał długo na odpowiedź.

Siema:) Nie przeszkadzasz. Jestem w pracy. Przyszedł jakiś Anglik. Nawet całkiem młody, ale tak narąbany, że zasnął. Czekam aż się obudzi. Licznik cyka;) Jestem prawie pewna, że to jest właśnie to słowo, które napisałeś. Ono było dłuższe niż "Arcyłotr", tylko część liter prawie niewidoczna, takie miał gęste futro na kłacie. No i po "t" na końcu jeszcze coś było.

Pozdro

PS Jaki CBS?

Podeksycytowany potwierdzeniem jego domysłów, rozważał już, jak to się składa z jego tezami, kiedy dziękował jej krótko, głównie za pomocą wykrzykników.

Przecież to Węgrom tytuł prawie już przyznano. Nie tylko w samej Paprykolandii, ale w większości piłkarskiego świata. Zsolt przytaczał wspomnienia kapitana Niemców, Fritza Waltera, jak dzień przed finałem słuchali transmisji radiowej z meczu o trzecie miejsce. Na zakończenie szwajcarski reporter powiedział: *"No to wszystko się rozstrzygnęło, pewna jest kolejność; pierwsze Węgry, drugie Niemcy, trzecia Austria, czwarty Urugwaj"*. Przedstawiciel ambasady węgierskiej w Bernie zaasekurował się, pytając kierownictwo ekipy, czy może dojść do przegranej, bo chcieliby wydać

przyjęcie na cześć "złotej" drużyny. Usłyszał, że porażka nie wchodzi w rachubę, więc zaproszenia na mistrzowski bankiet zostały wydrukowane i wysłane po półfinale.

VI.

Ostatnio mam świetną passę, pomyślał wesoło Maciej. Niedawno rozszyfrował brakującą część tajemniczy tatuażu, a dzisiaj w sali jadalnej znalazł serek topiony. Od tygodnia bufet śniadaniowy, wliczony w cenę hotelu, oferował rogaliki-wydmuszki, nieduże, białe bułeczki oraz miód i dżem w małych, plastikowych pojemniczkach. Przecież dorosły, zdrowy mężczyzna nie będzie na takim paliwie funkcjonował dłużej niż godzinę-dwie! A Maciek po śniadaniu jechał na trening, potem szybko musiał napisać korespondencje. Czas na zjedzenie czegoś konkretnego miał dopiero późnym popołudniem. Na myśl o tym od razu robił się głodny. Nie jadł sera topionego od lat, ale teraz na jego widok niemal łzy mu w oczach stanęły.

Jedzenie na wyjazdach niekiedy plasowało się w sferze komedii sytuacyjnej, zwłaszcza w tym kraju. On prawie nie mówił po francusku, a tubylcy jeszcze gorzej komunikowali się po angielsku. Rok temu zamówił w restauracji antricote, bo brzmiał jak polski antrykot. Kelner dwukrotnie spytał go o coś, z czego Maciek rozumiał tylko, że daje mu wybór pomiędzy trzema możliwościami. Za trzecim razem przytaknął przy pierwszej, a tamten przyniósł mu ledwo wysmażone mięso o żelazistym smaku krwi. Kilka dni temu w barze wziął coś, co bardzo fajnie wyglądało na załączonym zdjęciu, a dostał ohydę w półśłodkim sosie, z orzeszkami i niezidentyfikowanymi warzywami, gdzie mięso cieniutką warstwą oblepiało grubą kość. W nazwie miało to agneau, co w słowniczku przetłumaczył jako jagnięcinę, ale chyba ten biedny baran jeszcze nie zaczął rosnąć. W zamian zdarzały się jednak epokowe odkrycia. W Niemczech, na stacji benzynowej przy autostradzie, wtulił kiedyś dużego schabowego, zapieczonego z plasterkami pomidora i serem żółtym, ułożonego na spaghetti w lekkim pomidorowym sosie, z serem corregio do posypywania. Niech ktoś to zje i wtedy spróbuje powiedzieć, że polityka multikulti jest całkowitą porażką.

Pozbierał wszystkie serki w celofanowych opakowaniach. Zresztą i tak nikt tutaj nie podzielał jego rozrzewnienia ich obecnością. Do tego pieczywo, herbata i dwie lokalne gazety. W sobotę Wisła grała sparing z Rennes, po kwadransie było 0:2 i Maciek ponuro zastanawiał się, co o tym napisze. Taka wtopa na kilka tygodni przed początkiem eliminacji do Ligi Mistrzów. Obrońcy kryli Alexandra Freia na radar. Wprawdzie potem niewiele się poprawili, za to zaczęła działać "*Der Krakauer Tor-Fabrik*", jak w profetycznym przebłysku nazwał atak Wisły przed rewanżem w Gelsenkirchen autor klubowego programu Schalke.

Trzy gole w sparingu w Arzon zdobył Grzesiek Parada, skończyło się 4:4; jedna gazeta zatytułowała relację: "*Un festival offensiv*", druga: "*Une excellente equipe de Cracovie*". Wisłę cały czas nazywali Cracovie, w nazwiskach było sporo błędów. Maciek z sentymentem wspominał tresurę, jaką przeszedł na początku w "Rekordzie", wysyłany na IV ligę. Trzeba było najpierw odszukać spikera (na przykład, na najchętniej odwiedzanym przezeń stadionie Kabla przy Wielickiej, siedział w oknie na piętrze budynku, kawałek od boiska), spisać od niego starannie składy, porównać brzmienie nazwisk z wydanym przed sezonem "Skarbem Kibica", a gdy zaczął się mecz - ustawić zawodników formacjami, patrząc od prawej strony. Tutaj robił to samo, a kadry sparingowych przeciwników Wisły przywiózł ze sobą, wydrukowane jeszcze w Krakowie z netu. Cóż, ci Francuzi nie stosowali chyba kilkudziesięcioletnich standardów "Rekordu?", a na pewno nie dostali szkółki od redaktorów Mocnego, Pogody i Kowalskiego.

Snując leniwe rozmyślania, zrobił sobie jeszcze kawę. Pół wypił, pół wylał na gazetę. Rozkładówkę

zajmowały zdjęcia z - najwyraźniej dziecięcymi - rysunkami i malunkami. Jeden z największych, utrzymany w jaskrawożółtych barwach, przedstawiał ewidentnie "Złotą Nike", tylko pozbawioną podstawki i bez misy w wyciągniętych do góry rękach.

Następne idealnie równe boisko, tym razem w jakimś wiejskim ośrodku treningowym, niedaleko Vannes. Maciek trochę się spóźnił, bo kiedy dojeżdżał do ronda stojący tam policjant z długiego szeregu aut wyciągnął do kontroli właśnie jego. Pewnie ze względu na obcą rejestrację. Wypytywał, co tu robi, a kiedy usłyszał, że jest dziennikarzem, korespondentem ze zgrupowania Wisły, chciał wiedzieć, z kim grała sparingi i jakie padły wyniki. Ewidentnie go badał. Czego oni się tutaj boją, terrorystów?!

Chłopaki ćwiczyli już ustawianie ataku pozycyjnego. Kilka krótkich wymian piłki na jednym skrzydle i szybkie przerzucenie na drugie. Zanudzić się można chyba nie tylko od patrzenia, bo oni ponawianych rozegranych nie kończyli strzałami. Ale efekty tego żmudnego szlifowania bywały ekscytujące: zdobyty środek pola na Stadio Olimpico, czy pierwsza bramka na Arena auf Schalke, kiedy Wisła zaliczyła piętnaście podań, nie pozwalając dotknąć futbolówki przeciwnikom.

Dla rozluźnienia Romański zaordynował im gierki na niespełna trzydziestometrowych boiskach. Rządził Bogusławski, który ładował spod swojej bramki, a kiedy do niego podchodzili, kiwał ich i strzelał z bliższa.

- Nie bójcie się Bogusia - zaśmiewał się Gilewski największy szyderca i pracuś w drużynie.

Parada zszedł na ławeczkę. Fajrant. Maciek był już przy nim.

- Cześć, Grzesiek, ty faktycznie tak dobrze mówisz po francusku?

- Gdybyś tak dobrze pisał, jak ja mówię po francusku, dostałbyś nagrodę Pulitzera.

Czemu wydawało mu się, że to będzie dobre zagajenie?

- Ok, to się świetnie składa, szybko to przetłumaczysz, nie będę zajmował ci czasu. - Rozpostarł przed nim płachtę "Le Telegramme".

- Zaczynam się o ciebie martwić. Przecież to są dziecięce rysunki wyróżnione w konkursie z okazji "Dnia Bastylia".

- Ten mnie szczególnie zainteresował.

- Ma tytuł "Polska tancerka", namalował go 9-letni Patrice z Carnac. Dostał drugą nagrodę.

- Można by dowiedzieć się czegoś więcej o nim, jego rodzicach?

- No weź...

- Bardzo cię proszę! - Maciek nie był w stanie wymyślić na poczekaniu wiarygodnego kłamstwa.

- Jaki problem ma nasz paparazzi? - spytał "Gilu", dołączając do nich na ławce.

- Chce, żebym to ja został jego paparazzi.

- No i nie chcesz spróbować? Zgódź się, a Maciek wyświadczy nam drobną przysługę.

- Chętnie, ja wszystko...

- Pożyczysz nam samochód, mamy wolne popołudnie, wyskoczmy na zakupy do Nantes.

- Eee, tego się nie spodziewałem.

- Przecież sam masz pożyczony.

- Ale muszę go oddać. W jednym kawałku.

- U nas tylko wytrawni kierowcy.

- Aha, rajdowi.

- Powoli, "Gilu", mnie nie spytałeś o zgodę. A ja na zakupy się nie wybieram.

- Wiem, "Paradka", będziesz czekał na telefon od żony. Zrobisz to dla nas, nie takie rzeczy już robiłeś dla kolegów. Choćby te gole w sobotę, dzięki którym nie skompromitowaliśmy się.

Zdziwiło go, że Grzesiek tak chętnie wszystkim się zajął, a nawet - przejął inicjatywę. Zadzwoił do miejscowego oddziału "Le Telegramme", naopowiadał, że jest polskim piłkarzem, który grał dawniej we Francji, a teraz wrócił tutaj. Zaciekał go polski motyw w gazecie, chciałby odwiedzić tę rodzinę. Dostyc łatwo zdobył adres w Carnac, usłyszał również, że tamci ludzie to Francuzi. Pojechali zaraz po obiedzie. "Paradka" stwierdził, że sam ich odwiedzi, bo milczący, nie znający francuskiego facet, nie wzbudzi zaufania.

- Tu są takie fajne kamyki, idź sobie pooglądaj - spławił go.

Jeszcze przed wyjazdem na zgrupowanie Maciej poczytał o Bretanii. W Carnac znajdował się największy w Europie zbiór trzech tysięcy megalitów z V wieku przed naszą erą, z których największe dochodziły do 6,5 metra. Stojące pionowo menhiry miały być rzymskimi legionistami zakłętymi w kamienie przez św. Korneliusza. Nastrój tajemniczości psuły jednak kozy pasące się w trawie pomiędzy głazami.

Grzesiek dość szybko wywołał go telefonicznym "szczurem".

- Bardzo sympatyczni ludzie, mają trójkę dzieci, najmłodsze w wieku mojego Kacpra, więc lody stopniały od razu - opowiadał, gdy wracali do Vannes drogą wzdłuż zatoki Morbihan. - Mają duży dom; pokoje na piętrze w lecie wynajmują gościom. I właśnie jeden z tych letników ma taki tatuaż, który ich syn namalował na konkurs. Uważaj, jak jedziesz do cholery! - Jego krzyk złał się z klaksonem nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu, bo Maciek dwoma kołami przekroczył oś szosy.

- Przepraszam cię, zasłuchałem się.

- A dlaczego taki czerwony jesteś? Co się z tobą dzieje!? Zatrzymaj się, ja poprowadzę. Zjedź tu na bok, mówię!

Za kierownicą Paradzie minęła złość.

- Jak wygląda tamten letnik? - spytał Maciek.

- Dwumetrowy, nagi murzyn, ze złotym kółkiem w nosie.

- Bawią cię takie żarty bez publiczności?

- Jasne, tak samo jak strzelanie bramek na treningu. Ten człowiek jest już stary. "Le grand-pere", tak go określili. Przyjeżdża do nich w czerwcu i we wrześniu, bo ponoć nie lubi tłoku i zamieszania na plaży. Jest wtedy często jedynym gościem. Normalnie mieszka w Paryżu, chyba samotnie. W każdym razie do nich przyjeżdża sam. No i jest Polakiem, ale już bardzo długo mieszka we Francji.

- Gdzie ma ten tatuaż tancerki?

- Na kłacie chyba. Ponoć to odludek, milczek nawet, więc nie wiedzą o nim za wiele, nic o rodzinie. Ale ma dobry kontakt z ich dziećmi, zwłaszcza z tym Patricem. Uczył go różnych rzeczy, ponoć nawet rzeźbić w drewnie, zabierał nad morze, gdy rodzice nie mogli. Właśnie wtedy mały widział kilka razy tę figurkę. Namalował ją i wysłał do gazety, bo bardzo lubi Jeana, jak na niego mówią. Pewnie sfrancuziały Jan.

- A adres tego człowieka w Paryżu? Masz może, masz? - z nieśmiałą nadzieją, zacinając się, spytał Maciek.

- No, ba!

Gilewski już czekał w holu hotelowym, a kiedy Grzesiek podszedł do windy, wysiedli z niej pozostali.

- To komu przekazesz kluczyki?
- Moze Markowi, ok? - Maciej wskazał na Kolińskiego, zawsze uprzejmego i grzecznego obrońcę, który wydawał mu się najspokojniejszy, najbardziej godny zaufania.
- Ha, ha, ha! Więcej czasu na zakupy! Jak "Kola" dociśnie, to osiągniemy Nantes w niespełna godzinę.
- Takkk? Myślałem, że to "Bogus" bije rekordy - Maćkowi wydłużyła się mina. Do Nantes było 110 kilometrów.
- Tak, ale na motorze. A "Kola" zrobił 270 na godzinę samochodem.
- 290 nawet - stwierdził Koliński sięgając po kluczyki. - Nie bój żaby, Maciek, żaba nie bodzie. Dostaniesz samochód nietknięty. To renault? Jeszcze jako nastolatek miałem renówkę. Tanio kupiłem, ale potem okazało się, że była popowodziowa - służyła za łódkę podwodną. Na lądzie stawała bez ostrzeżenia. Gdzie ci odstawić samochód?
- Przyjdę tutaj po niego. Muszę pilnować, czy Romański nie ściągnie kogoś znieca.
- Mało prawdopodobne. Oby tylko Sam znowu nie nawiał, a Drazen nie zwariował, to jesteście w komplecie.
- I oby "Kola" się nie popsuł - wtrącił dyżurny kpiarz.
- Mam złe doświadczenia - trzymał się tematu Maciek. - Rok temu wyjechaliśmy z tego ośrodka w Alpach, gdzie trenowaliście, o dwunastej, a po południu przywieźli Massingwę.
- Chyba nie traktujesz tamtego transferu poważnie? Massingwa miał więcej żelaza w nogach niż Didi. A Didi uruchamiał wykrywacze metalu w bramkach na lotnisku.

VII.

Jechał niezbyt szybko pomiędzy polami pełnymi najróżniejszych upraw, spośród których rozpoznawał tylko kukurydzę. Wyłączył klimę i odsunął okno, żeby unoszące się w słońcu zapachy wpadały do samochodu. Wczoraj Wisła dostała smary w sparingu z Bordeaux rozegranym w miasteczku o obiecującej nazwie Cognac, z wielkimi sztyldami na dachach najokazalszych budynków w centrum: Hennessy, Martell, Remy Martin. Lepiej by chyba zrobili, gdyby poświęcili się degustacji lokalnych produktów o światowej sławie.

Niewykluczone, że koniak by pomógł, jak tym siatkarkom Wisły pod koniec lat 70. Spotkany w knajpie trener opowiadał mu, że kiedyś dwie największe gwiazdy drużyny wróciły z kadry Wagnera z potwornymi zakwasami i nie były zdolne podnieść ramion do pionu. Kierownik drużyny przypomniał sobie, że czytał gdzieś o korzystnym działaniu alkoholu na pobudzenie mięśni.

Dziewczynom ten pomysł się spodobał.

- To co chcecie, jakiś likierek, advocaata?

- Eee tam, kierowniku, niech pan przyniesie koniak.

Przed rozgrzewką przybiegł roztrzęsiony do owego trenera:

- Słuchaj, nalałem jej na dwa palce, a ona "Co, pan, żartuje! I całą szklanę wypić".

Efekt był ponoć wyśmienity i mecz wygrany z walnym udziałem dwójki bohaterek.

A ćwierć wieku później zmęczenie obozem i 400-kilometrową podróżą autokarem plus Camel Meriem złożyły się na bęcki 1:4. Kiedy pochodzący z Algierii pomocnik, dryblując, przejechał wzdłuż osi boiska od koła środkowego do bramki Strzelca, tutejszy dziennikarz, kręcąc głową, zwierzał się zabawnym tonem:

- Zastanawiam się często, czy jego lewa noga jest lepsza, czy prawa, ale nie znajduję satysfakcjonującej odpowiedzi.

Maciek pozbiierał komentarze, napisał w nocy podsumowanie obozu we Francji. Do tego zadzwonił do przebywającego na Wyspach Owczych drugiego trenera, Roberta Władyki, który obserwował potencjalnych rywali Wisły w najbliższej rundzie eliminacji. Z tego zrobił drugi tekst. Drużyna wróciła jeszcze do Vannes, jutro miała lecieć do Krakowa, a on był gotowy do skoku na Paryż. Plan wywrócił się na twarz. Zjadł śniadanie, wysłał oba artykuły, które powinny aż nadto zaspokoić redakcję, wyjechał za opłotki Cognac, kiedy zadzwonił Gurgul.

- Cześć, Maciek, właśnie jesteśmy po kolegium. Stefek Jucha i Paweł Krata uważają, że bardzo niepokojący jest wczorajszy występ Wisły. Podjęli decyzję, że trzeba zrobić rozkładówkę o tym, czy w ogóle ma szanse na awans do Ligi Mistrzów. I tu do ciebie prośba, potrzebne są trzy teksty: po pierwsze analiza...

- Zwariowałeś!? Wracam samochodem ze zgrupowania do Krakowa, jestem dokładnie w środku niczego, daleko od skądkolwiek. Poza tym, to jakiś dęty, sztuczny problem; opisałem okoliczności tego sparingu wczoraj w relacji, dodałem analizę w wysłanym dzisiaj podsumowaniu. Do tego jest tekst o tym, jak zaprezentował się najbliższy eliminacyjny przeciwnik. A nie bacząc na niepokoje naczelnych "Kroniki Sportowej" w przyszłym tygodniu Wisła zagra w Tbilisi. Dostałeś te dwa artykuły?

- Tak, tak, oczywiście. Ale wiesz, oni podjęli decyzję o rozkładówce i jest nieodwołalna. Chyba że chcesz zadzwonić do któregoś z nich?...

Że też zwykle trafia się ktoś zbyt miły, żeby porządnie na niego nawrzeszczyć. Maciek spędził ponad godzinę na jakimś wysypanym kamyczkami placyku, z laptopem na kolanach, pochylony nad analizą szans Wisły w eliminacjach. Spłodził jeden z tych tekstów, jakie starzy redaktorzy nazywali "chlebowymi". Niczego w nich nie było, ale jakie to miało znaczenie, skoro pisało się je dla honorarium. Na szczęście, Tomciara zgodził się mu pomóc, wydzwonił w Vannes Kolińskiego i zrobił z nim wywiad.

Teraz Maciej uspokajał się wśród zapachów ziół i kwiatów, wypatrując skrętu w kierunku autostrady wiodącej do Paryża.

Polak, letnik z Carnac, nazywał się Jean Duvall, mieszkał pod adresem 2 Place Auguste Metivier, mieszkania 6. Obok cmentarza Pere Lachaise. Wszystkie dane, włącznie z tym, że w Paryżu z Boulevard Peripherique ma zjechać przez Porte de Bagnolet, wypisał na kartce Grzesiek Parada. Niestety, nie dodał instrukcji, jak znaleźć miejsce do zaparkowania. Ostatecznie Maciek zostawił samochód niemal na końcu Avenue Gambetta i kawał drogi wracał pieszo.

Kolejna porażka to wizyta na wysokim, drugim piętrze kamienicy. Dobijał się długo do drzwi z "szóstką" (dzwonek nie działał), ale nic za nimi nie usłyszał. Na dole usiadł przy wystawionym na chodnik stoliku kawiarenki. Może ten człowiek wyszedł gdzieś na zakupy, do lekarza; jest wczesne popołudnie, powinien wkrótce wrócić na obiad. Po sąsiedzku dwie dziewczyny i chłopak pili kawę i palili papierosy. Jedna z nich wyglądała jak wyobrażenie paryskiej studentki z czasów rewolty w latach 60., choćby z książki "Wesoły miesiąc maj" Jamesa Jonesa. Krótka, czarna spódniczka, szary, bezkształtny sweter zaokrąglający się na piersiach, jasne włosy zebrane w kok i twarz - może nie piękna, ale miła i myśląca. Kiedy zobaczyła, że jej się przygląda, zaczęła rzucać mu ukradkowe spojrzenia zza chmurek wydmuchiwanego dymu.

W polu widzenia wszedł podpierający się laską mężczyzna z krzaczastymi, siwymi brwiami i pobrużdżoną twarzą pod daszkiem czapki kaszkietówki. To musi być on, uznał, kiedy staruszek skierował się do drzwi, skąd on sam wyszedł kilkadziesiąt minut temu. Staruszek? Gdyby komuś

przyłożył tą łagą, to nie chciałbym sprzątać tego, co pozostanie, pomyślał Maciek, patrząc na lekko przygarbione, ale szerokie i silne plecy tamtego.

- Dzień dobry, nazywam się Błażej Lipiński i przyszedłem porozmawiać o naszej wspólnej znajomej, "Pani Zwycięstwa". - Na wszelki wypadek zmyślił nazwisko.
- Zachodź - tamten w ogóle nie okazał zdziwienia. - To ty wypytywałeś o mnie w Carnac.
- No, mniej więcej; kolega, którego o to poprosiłem, bo zna francuski. Zobaczyłem zdjęcie w gazecie.
- Skąd przyjechałeś?
- Z Krakowa. - To i tak będzie musiało pojawić się w rozmowie, więc nie ma co zmyślać.
- Ładne miasto, jeździłem tam przed wojną do ciotki. Podać ci kawy albo herbaty?
- Nie, dziękuję, piłem przed chwilą, w kawiarence.
- Sobie muszę zrobić coś ciepłego.

Pod jego nieobecność Maciek rozglądał się po pomieszczeniu z dwoma pejzażami na ścianie, oszkloną szafką z książkami, mnogością serwetek, dzbanuszków, figurek. Ten pokój musiała urządzić kobieta. Jean wrócił z tacą, na której znajdował się parujący czajniczek, filiżanka na spodeczku, talerzyk z ciastkami, serweta. Postawił ją, zdjął czajniczek, a przed Maćkiem, nieco obok postawił ciastka. Kiedy ten odruchowo podążył za nimi wzrokiem, Duvall sięgnął pod serwetę i szybkim ruchem podsunął mu przed oczy krótką lufę jakiegoś pistoletu.

- To parabelka, kupiłem ją od Szkopa w 1943, ale działa do dzisiaj, więc siedź spokojnie. Po coś tu przylazł? Dlaczego mnie szpiegujesz?
- Bo ma pan tatuaż ze "Złotą Nike" - odparł Maciek, przewyciężając sztywność mięśni twarzy.
- To nie twój interes!
- Nie mój?! To ja znalazłem wyłowionego z Wisły trupa z poderżniętym gardłem i takim samym tatuażem, to mnie aresztowała policja, to moją dziewczynę porwali z tego powodu gangsterzy, to nami zainteresowało się CBS. - Maciek nakręcał się tak, że zapomniał o zagrożeniu. Czemu sprzyjał fakt, że tamten usiadł naprzeciwko, a rękę z pistoletem położył na stole.
- Opowiedz mi o CBS. Jak wyglądają ci gliniarze?
- Czemu akurat to takie ważne?
- Pytasz mnie, czy jego? - starzec poruszył Parabellum, odbierając Maćkowi śladowe ilości odzyskanej przed chwilą pewności siebie.
- Przyjrzałem się tylko dowódcy, z którym rozmawiałem. Śniady, z kilkudniowym zarostem, przez przerzedzone włosy nad czołem prześwitywała opalona skóra. Oczy błyszczące żywą inteligencją. Na imię ma Waldemar, tak kazał do siebie mówić. Gość, którego najczęściej z nim widziałem jest wysokim blondynem i prawie ciągle pali papierosy.
- Psy lubią tytoń. Dobra, czego chcesz ode mnie?
- O co chodzi z tymi tatuażami?
- Miałem przyjaciela z Węgier, Lajosa, z którym służyliśmy w "Legii". Wciągnął mnie w futbol i w kibicowanie ich reprezentacji. Naszej się nie dało. Wiesz, że w 1952 roku Węgrzy w pierwszej połowie prowadzili z Polską w Warszawie 5:0 i nasi sekretarze wysłali ich ambasadora do szatni z prośbą, żeby już nie strzelali?
- Wtedy faktycznie byli dużo lepsi. Ale to są cykle. Były też takie, kiedy my mieliśmy znakomity zespół, a oni nie istnieli.
- Takiej drużyny jak Aranycsapat nigdy nie było i nie będzie! To była naprawdę "Wyśniona

jedenastka"! Siedziałem na trybunie na Wembley, gdy Anglicy ponieśli tam największą klęskę w historii. Puskas pod ich bramką wysunął piłkę stopą, cofnął, żeby Wright przejechał na dupie i wtedy strzelił gola. Alfredo di Stefano powiedział o nim, kiedy już grali razem w Realu: "Jedną nogą kontroluje piłkę lepiej, niż ja dwoma rękami".

- A w finale grał z kontuzją i pewnie przez to przegrali. Czytałem o tym. Węgrzy nie są jedyną drużyną, która straciła będąc bardzo blisko mistrzostwo. Holendrzy w 1978, może Brazylijczycy w 1950 i 1998, bo nie wiadomo, co by się zdarzyło, gdyby nie ta tajemnicza zapaść Ronaldo. Czasami ma się pecha...

- A doping Niemców to ich szczęście, czy pech Węgrów?

- To jest taka sama prawda, jak otrucie Ronaldo przez Francuzów przed finałem w 1998 roku. Zresztą, na jakim poziomie był doping w latach 50.? Czytałem, że Puskas o tym powiedział, a DFB nałożyło na niego zakaz gry na terenie Niemiec. Potem, w 1964 roku, przeproszał Seppa Herbergera na lotnisku we Frankfurcie.

- W prywatnej rozmowie, której nikt nie słyszał. Rok temu ich konował, Franz Loogen opowiadał w wywiadzie, że robił mnóstwo zastrzyków, ale z witaminami. I od tych witamin ośmiu piłkarzy zachorowało potem na żółtaczkę, a dwóch zmarło po latach na wirusowe zapalenie wątroby. Hitlerowcy zrobią wszystko, żeby wygrać.

- Teraz pan przesadza.

- A Josef Posipal, chłopak z Węgier, który znalazł się w czasie wojny w obozie w Hanowerze, gdzie adoptował go prezes klubu, a potem zagrał w mistrzostwach w reprezentacji Niemiec, to nie dziedzictwo hitlerowskie?

- O nim czytałem co innego - że urodził się w rodzinie osiedleńców niemieckich w Siedmiogrodzie, który akurat wtedy należał do Rumunii. Przypuszczam, że walczył pan z Niemcami na wojnie, ale tamte mistrzostwa były prawie 10 lat później. I oni wygrali je na boisku. W szczęśliwych okolicznościach, ale wygrali. Pewnie pan poznał tych Węgrów? - Maciek intuicyjnie odgadł, że w taki sposób najlepiej zmienić temat, aby stonować rozmowę.

- Skąd wiesz?!

- Nie mówiliby pan o nich z takim sentymentem.

- To Lajos mnie z nimi poznał. W Paryżu, choć wtedy jeszcze tu nie mieszkałem. Przyjechali na tournée, odwiedzaliśmy ich w Palais d'Orsay, robiliśmy im różne przysługi, zakupy. To był zaszczyt być z nimi na stopie koleżeńskiej.

- Czytałem w takiej węgierskiej książce, że oni funkcjonowali jak starożytny bank. Emigranci wypłacali im za granicą obcą walutę. Zawodnicy z reprezentacji robili za to dla siebie zakupy, a oddawali pieniądze w forintach rodzinom tamtych ludzi, już w ojczyźnie.

- Co to za książka?

- "Piłkarze, sportowcy" Roberta Zsolta. Wydana jeszcze w latach 80.

- Komunistyczna szmata?

- Nie, niekoniecznie. Wiadomo, wszędzie musiało być trochę propagandy, ale o wielu rzeczach pisze otwarcie. No i sporo jest tam ciekawostek w stylu tej o wymianie walut.

- Kiedy czerwone skurwysyny wjechały na czołgach do Budapesztu, zniszczyły także tamtą reprezentację. To wtedy zrobiliśmy sobie z Lajosem te tatuaże. Na pamiątkę "Wyśnionej jedenastki", której należało się mistrzostwo świata.

- Ale węgierscy piłkarze po 1956 roku całkiem nieźle wylądowali, nie tylko ci na zachodzie.

- Z niektórymi utrzymywaliśmy kontakt przez lata. Najbardziej było mi żal Sandora Kocsisa. Ucieli

mu nogi w szpitalu w Barcelonie i niedługo później wyskoczył oknem.

- A ten człowiek wyłowiony z Wisły, to może być pański przyjaciel Lajos? - skojarzył Maciek, gdy usłyszał o amputacji.

- Nie, on był dwa lata ode mnie starszy, a rok temu umarł. Mnie też tam wołają.

- Proszę tak nie mówić, świetnie się pan trzyma. Odniosłem takie wrażenie już w pierwszym momencie, gdy pana zauważyłem.

- Dobra, mały, miły jesteś, ale na ciebie już pora. Byłem dzisiaj u lekarza, miałem drobny zabieg, dostałem leki, muszę odpocząć.

- Ale ja chciałbym spytać jeszcze o kilka ważnych spraw. Chyba uwierzył pan już, że pana nie szpieguję?

- Może i nie, ale też nie zacząłem ci ufać. Dobrze, przyjdź jutro w południe. I przynieś ze sobą tę książkę.

- To pan jest ten "Pole", który zlecił Betchley'owi kradzież "Złotej Nike"? - Maciek, już stojąc na nogach i widząc, że tamten odłożył pistolet, zdobył się na odwagę.

- Masz bujną wyobraźnię smarkaczu - roześmiał się starzec, także podnosząc z krzesła. - Popatrz na to.

Wyjął z oszklonej szafki jakiś album, a z niego zdjęcie. Grupa czarnych chudzielców w strojach moro, z karabinami, tyłem do nich dwóch klęczących białych. Jeden miał ręce na karku, a drugi - bardzo podobny do Duvalla, tylko siwiznę zastąpiły blond włosy i ciemne brwi - w rękach ułożonych przed sobą trzymał "Le Figaro". Ostrość była ustawiona na winietę, pod tytułem w ramce znajdował się napis "EDITION DE 5 HEURES", a po prawej data "VENDREDI 18 MARS 1966".

- Gazeta z piątku 18 marca, złapali mnie 19, a zdjęcie zrobione 20. Przyjechaliśmy do Republiki Środkowej Afryki przekazać pozdrowienia dla Bokassy. Organizacja wycieczki była do dupy i wylądowałem u niego w pierdłu, gdzie zostało zrobione zdjęcie. Tamci liczyli, że coś za mnie uzyskają; jeśli nie pieniądze, to informacje. Stąd ta fotografia. Od naszego zamachu miał się zacząć pucz, który wybuchł i tak, w kwietniu. Nie udało się, ten wariat mianował się później cesarzem, za to w zamieszaniu kumple mnie uwolnili. A teraz zabieraj się już.

Schodząc po schodach Maciek miał niejasne uczucie, że coś tu nie pasuje, jedne zachowania starszego pana zbyt mocno kontrastują z innymi. Wrażenie minęło, gdy znalazł się wśród zgiełku paryskiej ulicy.

VIII.

Zawsze się śmiał, że atmosferą to można mierzyć ciśnienie powietrza w piłce, a nie atrakcyjność miasta, knajpy, czy temu podobnych, ale w Paryżu po raz pierwszy to poczuł - rozmyślał, jadąc "dziewiątką" i na stacji Nation przesiadając się na "dwójkę".

Wczoraj wdrapał się po schodach na drugą kondygnację Wieży Eiffla, bo winda wjeżdżająca na trzecią została wyłączona. Stanął przy barierce, dwaj Rosjanie pokazywali sobie jakiś punkt na prawo ("Tam Diana razbiłaś"), fotografowały się chichoczące dziewczyny. Zapadał zmierzch; rozbliskiwały coraz liczniejsze światła, dołem, po Sekwanie, sunął stateczek. To jedyne miasto, w jakim byłem, zdolne oddziaływać choćby samą aurą, pomyślał. I nie zmienił tego wniosku nawet wobec policjantów z bronią praktycznie przygotowaną do strzału, czy opierając się kilkudziesięciu propozycjom usług erotycznych na Boulevard de Clichy. Kiedy stamtąd dotarł na Montmartre, patrząc spod Sacre Coeur w kierunku Wieży, pijąc kawę na Plac du Tetre, obiecywał sobie, że

kiedyś tu jeszcze wróci. Najchętniej z Karoliną.

Spał w hotelu Formule 1 w Montreuil, poleconym przez Mariusza Popławskiego z "Kuriera", skarbnicę informacji turystycznych dotyczących Francji. F1 był dość tani, jak cała sieć, a przede wszystkim - jedyny z niej położony w samym mieście, zamiast daleko na obrzeżach. Można też było zaparkować przy nim samochód, więc efektu nie psuła nawet mikroskopijna łazienka, w której w najszerszym miejscu rozpostartymi rękami dotykał obu ścian.

Wychodząc z metra na stacji Pere Lachaise był jeszcze w dobrym humorze, ale czarny furgon z jakimiś niezrozumiałymi napisami wzbudził jego niepokój. Na drugim piętrze połowa okien była pootwierana. Kiedy czekając na windę zobaczył na schodach dwóch facetów z noszami, na których spoczywał podłużny kształt w plastikowym worku - pobiegł po stopniach na drugie piętro.

Na gorączkowe stukanie otworzyła zapłakana kobieta po czterdziestce. Zadbana i elegancka, lecz teraz tusz rozmazywał się jej czarnymi smugami na policzkach.

- Dzień dobry, dzisiaj w południe byłem umówiony z panem Duvallem. - Na to ona wybuchnęła szlochem i zatoczyła się w głąb przedpokoju.

- Co się stało? Mogę pani jakoś pomóc? - Maciek odruchowo zrobił dwa kroki za nią.

- Nie, nie. Przepraszam. To mój tata. Umarł.

- Niemożliwe! Dopiero wczoraj z nim rozmawiałem, niecałą dobę temu.

- Właśnie go wynieśli.